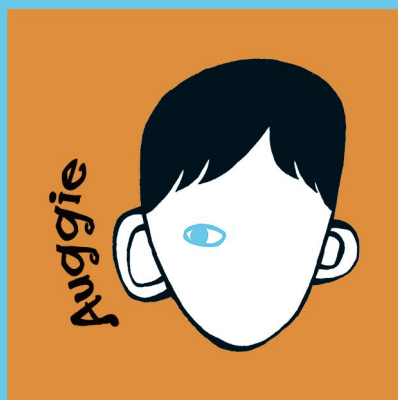


WSZYSCY JESTEŚMY WYJĄTKOWI

CUDOWNNA KSIĄŻKA

WSZYSTKIE CUDOWNE HISTORIE



R.J. PALACIO

ALBATROS

Książka „Cudowny chłopak”

Tytuł oryginału: WONDER

Copyright © R.J. Palacio 2012

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2014

Redakcja: Anna Jutta-Walenko

Książka „Cudowny chłopak i ja. 3 cudowne historie”

Tytuł oryginału: AUGGIE & ME: THREE *WONDER* STORIES

The Julian Chapter copyright © 2014 by R.J. Palacio

Pluto copyright © 2015 by R.J. Palacio

Shingaling copyright © 2015 by R.J. Palacio

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2018

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracje na okładce: Tad Carpenter

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



CUDOWNY
CHŁOPAK

Zwykły dzieciak jak inne

Wiem, że nie jestem zwykłym dziesięciolatkiem. To znaczy, oczywiście, robię zwykłe rzeczy. Jem lody, jeżdżę na rowerze, gram w piłkę, mam xboxa. Pod tym względem jestem całkiem zwyczajny. Tak mi się wydaje. I tak czuję. W środku. Ale gdy zwykły dzieciak spojrzy na drugiego zwykłego dzieciaka, to przecież nie ucieka z wrzaskiem z placu zabaw. I ludzie nie wlepiają w niego wzroku, gdziekolwiek się pojawi.

Gdybym znalazł czarodziejską lampę i mógł wypowiedzieć jedno życzenie, chciałbym mieć normalną twarz, na którą nikt nigdy nie rzuci okiem. Kiedy idę ulicą, wołałbym, żeby przechodnie nie spoglądali na mnie i nie odwracali głów. Moim zdaniem sprawa przedstawia się tak: nie jestem zwykłym dzieckiem tylko dlatego, że nikt nie patrzy na mnie jak na zwykłe dziecko.

Właściwie już się przyzwyczailem do swojego wyglądu. Umiem udawać, że nie widzę, jakie ludzie robią miny. Wszyscy nabraliśmy w tym dużej wprawy – mama, tato i Via. Chociaż nie – odwołuję to, co powiedziałem – nie wszyscy. Vii nie wychodzi to najlepiej. Potrafi się porządnie wkurzyć, jeśli ktoś zachowa się po chamsku. Na przykład któregoś dnia kilku starszych chłopaków coś tam wygadywało na placu zabaw. Nawet nie wiem co, bo nie słyszałem, ale usłyszała ich Via i natychmiast zaczęła się wydzierać. Taka już jest. Ja tak nie robię.

Via nie uważa, że jestem zwyczajny. Nie przyznaje się do tego, ale gdyby widziała we mnie zwykłego dzieciaka, to nie byłaby przekonana,

że musi się tak o mnie troszczyć. Rodzice też nie uważają, że jestem zwyczajny. W ich odczuciu jestem nadzwyczajny. Jedyńm człowiekiem na świecie, który zdaje sobie sprawę, jaki ze mnie zwykły chłopak, jestem ja sam.

Tak na marginesie, mam na imię August. Nie powiem wam, jak wyglądam. Cokolwiek sobie wyobrażacie, w rzeczywistości jest pewnie gorzej.

Dlaczego nie chodziłem do szkoły

W przyszłym tygodniu zaczynam naukę w piątej klasie. Ponieważ nigdy nie uczyłem się w prawdziwej szkole, jestem cały w nerwach. Wielu ludzi sądzi, że nie posłano mnie do szkoły z powodu mojego wyglądu, ale to nieprawda. Przyczyną były te wszystkie operacje. W sumie dwadzieścia siedem od urodzenia. Najpoważniejsze przeprowadzono, jeszcze zanim skończyłem cztery lata, więc ich nie pamiętam. Od tamtej pory co roku miałem ze dwie, trzy (jedne skomplikowane, inne proste), a ponieważ jestem mały jak na swój wiek i cierpię na jeszcze inne tajemnicze przypadłości, których lekarze nie potrafią rozszyfrować, często dopadały mnie różne choroby. Dlatego rodzice uznali, że nie powinienem iść do szkoły. Teraz jestem dużo silniejszy. Ostatnią operację miałem osiem miesięcy temu i prawdopodobnie nie czeka mnie kolejna przez kilka najbliższych lat.

Mama daje mi lekcje w domu. Dawniej robiła ilustracje do książek dla dzieci. Wróżki i syreny udają jej się świetnie, gorzej tematy dla chłopców. Kiedyś chciała mi narysować Dartha Vadera, ale wyszedł jakiś dziwny robot w kształcie grzyba. Od dawna nie widziałem, żeby cokolwiek narysowała. Pewnie jest zbyt zajęta opiekowaniem się mną i Vią.

Nie powiem, że zawsze chciałem chodzić do szkoły, bo to nie do końca prawda. Niby chciałem, ale tylko gdybym był taki jak inni uczniowie. Gdybym mógł mieć dużo kolegów, spotykać się z nimi po szkole i takie tam.

Teraz przyjaźnię się z kilkoma chłopcami. Moim najlepszym przyjacielem jest Christopher, potem Zachary i Alex. Znamy się od pieluch. Nie razi ich mój wygląd, bo zdążyli się przyzwyczaić przez te wszystkie lata. Gdy byliśmy mali, ciągle się bawiliśmy razem, ale potem Christopher przeprowadził się do Bridgeport w stanie Connecticut. To ponad godzinę drogi od mojego domu w North River Heights, na samym czubku Manhattanu. A Zachary i Alex poszli do szkoły. Dziwna sprawa: choć Christopher przeniósł się tak daleko, widzę się z nim częściej niż z Zacharym i Alexem. Tamci dwaj mają już nowych kolegów. W każdym razie, gdy spotykamy się przypadkiem na ulicy, wciąż są dla mnie mili. Zawsze mówią „cześć”.

Przyjaźnię się też z innymi chłopcami, choć nie tak blisko jak dawniej z Christopherem, Zackiem i Alexem. Na przykład Zack i Alex zapraszali mnie w dzieciństwie na przyjęcia urodzinowe, a Joel, Eamonn i Gabe – ani razu. Emma zaprosiła mnie raz, ale od dłuższego czasu się nie widzieliśmy. No i ciągle chodzę na urodziny do Christophera, to jasne. Czy ja nie przesadzam z tymi przyjęciami urodzinowymi?

Jak przyszedłem na świat

Lubię, gdy mama opowiada tę historię, bo strasznie mnie śmieszy. Nie tak, jak śmieszą dowcipy, ale słuchając mamy, po prostu boki zrywamy z Vią.

No więc, gdy byłem jeszcze w brzuchu mamy, nikomu nie przyszło do głowy, że po wyjściu stamtąd będę wyglądał tak jak teraz. Cztery lata wcześniej urodziła się Via i to była „bułka z masłem” (słowa mamy), wobec tego nikt nie widział powodu, żeby przeprowadzać specjalne badania. Ze dwa miesiące przed moim urodzeniem lekarze stwierdzili, że coś jest nie w porządku z moją twarzą, ale ich zdaniem nie wyglądało to groźnie. Powiedzieli rodzicom, że mam rozszczep podniebienia i jakieś tam jeszcze „drobne anomalie”, jak się wyrazili.

Tej nocy, gdy się urodziłem, na sali porodowej pracowały dwie pielęgniarki. Jedna była sympatyczna i miła. Druga, jak twierdzi mama, ani trochę. Miała bardzo umięśnione ręce i – teraz robi się śmiesznie – ciągle puszczała bąki. Na przykład podawała mamie pokruszony lód i przyk. Mierzyła jej ciśnienie i przyk. „Nie uwierzycie, mówiła mama, ta kobieta ani razu nie powiedziała »przepraszam«!”. Ponieważ opiekujący się mamą lekarz akurat miał wolny dzień, musiała się zdać na jakiegoś podenerwowanego młodego doktora, któremu dała z tatą przezwisko Doogie, zdaje się dlatego, że przypomniał im się bohater starego serialu telewizyjnego *Doogie Howser, lekarz medycyny* (oczywiście nie zwracali się tak do niego bezpośrednio). Mama mówi, że choć jej sąsiadki na sali trochę kwękały, tato rozśmieszał ją przez całą noc.

Gdy wyszedłem z brzucha, podobno zapadła kompletna cisza. Mama nawet nie miała sposobności, żeby na mnie spojrzeć, bo ta miła siostra natychmiast wybiegła ze mną z sali. Tato ruszył za nią w takim pośpiechu, że upuścił kamerę wideo, która się roztrzaskała na milion kawałków. To wszystko ogromnie zdenerwowało mamę. Chciała wstać z łóżka, żeby zobaczyć, dokąd oni pędzą, ale prukająca pielęgniarka chwyciła ją swoimi łapskami za ramiona i przygwoździła do łóżka. Prawie doszło do bójk: mama histeryzowała, a pielęgniarka wrzeszczała, każąc jej się uspokoić. W końcu obie zaczęły wołać lekarza. I wiecie co? Lekarz zemdleł! Runął na podłogę! Widząc to, prukająca pielęgniarka próbowała go ocucić szturchnięciami nogą, a przy tym wymyślała mu: „Jak tak można? Co z pana za lekarz! Niech pan wstaje! No już!”. I nagle, ni stąd, ni zowąd, puściła bąka – niewyobrażalnie potężnego, głośnego i śmierdzącego bąka. Mama twierdzi, że dzięki temu lekarz się ocknął. Tak czy owak, gdy mama opowiada tę historię, odgrywa każdą z postaci – także naśladuje odgłos prukania – i brzmi to strasznie, strasznie śmiesznie.

Potem okazało się, że prukająca pielęgniarka jest bardzo miła. Siedziała przy mamie cały czas. Nie odeszła od łóżka, nawet gdy tato wrócił do pokoju i lekarze powiedzieli rodzicom, co mi dolega. Mama dokładnie pamięta, co ona szepnęła jej do ucha, kiedy lekarz oznajmił, że prawdopodobnie nie przeżyję nocy. „Wszystko bowiem, co z Boga zrodzone, zwycięża świat*”. Następnego dnia, gdy jednak przeżyłem noc i pokazano mnie mamie pierwszy raz, właśnie ta pani trzymała ją za rękę.

Mama mówi, że wtedy lekarze o wszystkim już jej powiedzieli. Była gotowa mnie zobaczyć. Ale gdy spojrzała w dół na moją małą buzię, jej uwagę zwróciły jedynie śliczne oczy.

Tak na marginesie, mama jest piękna. Tato jest przystojny. Via jest cudna. Wyjaśniam na wszelki wypadek, gdybyście się nad tym zastanawiali.

* Biblia Tysiąclecia, 1 Jan, 5, 4.

Dom Christophera

Gdy Christopher wyprowadził się do Bridgeport trzy lata temu, byłem naprawdę przybity. Mieliśmy wtedy z siedem lat. Godzinami bawiliśmy się figurkami postaci z *Gwiezdnych wojen* i pojedynkowaliśmy się na miecze świetlne. Wciąż mi tego brakuje.

Wiosną zeszłego roku całą rodziną pojechaliśmy w odwiedziny do Bridgeport. Gdy razem z Christopherem szukaliśmy chrupek w kuchni, usłyszałem, jak mama mówi do Lisy, mamy Christophera, że jesienią pójdę do szkoły. Wcześniej nie wspomniała o tym słowem, ani razu.

– Co takiego? – wtrąciłem się.

Zrobiła zaskoczona minę, jakbym nie powinien tego usłyszeć.

– Lepiej powiedz mu o swoim pomysłe, Isabel – włączył się tato, który stał po drugiej stronie salonu, gawędząc z tatą Christophera.

– Później o tym porozmawiamy – odrzekła mama.

– Nie – odparłem. – Chcę wiedzieć teraz.

– Nie uważasz, Auggie, że jesteś gotów rozpocząć naukę w szkole? – zapytała mama.

– Nie.

– Ja też nie uważam – dodał tato.

– No i już, sprawa zamknięta. – Wzruszyłem ramionami i usiadłem mamie na kolanach jak mały szkrab.

– Ja tylko sądzę, że powinienes umieć więcej niż to, czego mogę cię nauczyć – powiedziała mama. – Sam wiesz, Auggie, jaka jestem słaba z ułamków!

– Dokąd chcesz mnie posłać? – zapytałem.

Zbierało mi się na płacz.

– Do szkoły imienia Beechera. Tuż koło nas.

– Ho, ho, świetna szkoła – powiedziała Lisa, klepiąc mnie po kolanie.

– A dlaczego nie do tej, gdzie uczy się Via? – dopytywałem się.

– Tamta jest za duża – wyjaśniła mama. – Myślę, że by ci nie pasowała.

– Nie chcę iść do szkoły – jęknąłem.

Przyznaję, że miało to zabrzmieć trochę po dziecinnie.

– Niczego nie musisz robić wbrew sobie – oświadczył tato, biorąc mnie na ręce. Usiadł na drugim końcu kanapy i wziął mnie na kolana. – Skoro nie chcesz, nie będziemy cię nakłaniać.

– Ale to byłoby dla niego dobre, Nate – ciągnęła mama.

– Nie byłoby, skoro on tego nie chce – stwierdził tato, patrząc na mnie – i nie jest na to gotów.

Zauważyłem, że mama zerka na Lisę, a ta podchodzi i ściska ją za rękę.

– Razem coś wymyślicie – odezwała się do mamy. – Zawsze się wam udawało.

– Wrócimy do tej rozmowy – powiedziała mama.

Czułem, że się posprzecząją na ten temat, i chciałem, żeby tato był górą. Coś mi jednak mówiło, że mama ma rację. Poza tym rzeczywistość jest beznadziejna w ułamkach.

W samochodzie

Jazda do domu trwała dość długo. Jak zwykle zasnąłem na tylnym siedzeniu, głowę położyłem na kolanach Vii jak na poduszce, a pas bezpieczeństwa był owinięty ręcznikiem, żeby nie upaść Vii śliną ciekącą mi z ust. Via też zasnęła, a mama i tato rozmawiali półgłosem o dorosłych sprawach, które nic mnie nie obchodziły.

Nie wiem, ile czasu spałem, ale po przebudzeniu zobaczyłem za szybą fioletową noc i księżyc w pełni. Jechaliśmy autostradą wśród masy samochodów. W pewnej chwili zorientowałem się, że rodzice rozmawiają o mnie.

– Nie możemy ciągle go chronić – szepnęła mama do taty, który prowadził. – Udawać, że jutro obudzi się w innej rzeczywistości. Otaczająca go rzeczywistość się nie zmieni, Nate, więc z naszą pomocą musi nauczyć się w niej żyć. Nie możemy unikać sytuacji, które...

– Dlatego posyłamy go do szkoły podstawowej średniej* jak jagnię na rzeź... – wtrącił ze złością tato i urwał, widząc w lusterku, że podnoszę głowę.

– Co to znaczy „jak jagnię na rzeź”? – zapytałem rozespany.

– Śpij, śpij, Auggie – rzucił cicho.

– W szkole wszyscy będą się na mnie gapić – jęknąłem, nagle zalewając się łzami.

*W tej szkole podstawowej jest zerówka oraz szkoła niższa (klasy I do IV), średnia (klasy V i VI) i wyższa (klasy VII i VIII). Naukę rozpoczynają pięcioletnie dzieci.

Mama odwróciła się do mnie i położyła dłoń na mojej ręce, mówiąc:
– Kochanie, dobrze wiesz, że nie będziemy cię do tego zmuszać. Tylko spotkaliśmy się z panem wicedyrektorem i opowiedzieliśmy mu o tobie. Bardzo chce się z tobą zobaczyć.

– Co mu powiedzieliście?

– Że jesteś zabawny, serdeczny i mądry. Gdy się dowiedział, że mając sześć lat, przeczytałeś *Smoczego jeźdźca**, zawołał: „No, no, muszę poznać tego chłopca!”.

– Coś jeszcze?

Mama posłała mi uśmiech, jakby chciała mnie nim otulić.

– Że miałeś dużo operacji i dzielnie je zniosteś.

– Wobec tego on wie, jak wyglądam, tak?

– Wzięliśmy zdjęcia zrobione zeszłego lata w Montauk – rzekł tato. – Zobaczył całą naszą rodzinę. Również to świetne zdjęcie na łodzi, jak trzymasz fłandrę!

– Ty też się z nim spotkałeś? – Muszę przyznać, że byłem trochę zawiedziony, słysząc, że tato brał w tym udział.

– Tak, poszliśmy oboje. Bardzo miły z niego człowiek.

– Polubiłbyś go – dodała mama.

Nagle wydało mi się, że oni stoją po tej samej stronie.

– Zaraz, zaraz, kiedy było to spotkanie?

– W zeszłym roku oprowadził nas po szkole – odrzekła mama.

– Co takiego?! Cały rok się nad tym zastanawiacie i nic mi nie mówicie?

– Nie wiedzieliśmy, czy cię w ogóle przyjmą – wyjaśniła mama. – Do tej szkoły bardzo trudno się dostać. Mają długą procedurę kwalifikowania uczniów. Chciałam ci oszczędzić niepotrzebnych nerwów.

– Ale rzeczywiście, Auggie, należało cię poinformować miesiąc temu, gdy się okazało, że zostałeś przyjęty – zgodził się tato.

– Patrząc z perspektywy czasu, też tak myślę – przyznała z westchnieniem mama.

* Powieść dla dzieci, napisana przez Cornelię Funke, zwaną niemiecką Rowling. Wydana po polsku w 2005 roku.

– Czy pani, która wtedy do nas przyszła, miała z tym coś wspólnego? – zapytałem. – Ta, co zrobiła mi test.

– Owszem. – Spojrzała na mnie ze skruchą.

– A mówiłaś, że piszę test na inteligencję – wypomniałem jej.

– Rzeczywiście, ale to było niewinne kłamstwo – usprawiedliwiła się mama. – Musiałeś zdać egzamin wstępny, żeby przyjęto cię do szkoły. Swoją drogą, poszło ci świetnie.

– Więc skłamałaś – mruknąłem.

– Masz rację, niewinne kłamstwo jest mimo wszystko kłamstwem. Przepraszam. – Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, a gdy nie zareagowałem, odwróciła się w kierunku jazdy.

– Co to znaczy „jak jagnię na rzeź”? – zapytałem.

Mama westchnęła i posłała tacie znaczące spojrzenie.

– Nie powinienem był tak się wyrazić – powiedział tato, patrząc na mnie w lusterku wstecznym. – To było niewłaściwe porównanie. Chodzi o to, że mama i ja bardzo cię kochamy i chcemy cię chronić na wszelkie sposoby. Czasem po prostu każde z nas robi to inaczej.

– Nie chcę iść do szkoły – oświadczyłem, krzyżując ramiona.

– Skorzystałbyś na tym – zaznaczyła mama.

– Może w przyszłym roku. – Odwróciłem się do okna.

– W tym roku byłoby lepiej – ciągnęła. – Wiesz dlaczego? Bo pójdziesz do piątej klasy, czyli ze wszystkimi dziećmi rozpoczniesz pierwszy rok nauki w szkole podstawowej średniej. Nie będziesz jedynym nowym uczniem.

– Za to jedynym, który ma taką twarz.

– Nie twierdzę, że to nie będzie dla ciebie trudna próba, sam wiesz najlepiej. Ale dobrze na tym wyjdiesz, Auggie. Poznasz nowych kolegów. Nauczysz się rzeczy, których nie nauczyłbyś się ode mnie. – Mama znów odwróciła się w moją stronę. – Podczas zwiedzania szkoły zaprowadzono nas do laboratorium. Wiesz, co tam zobaczyliśmy? Kurczaczka, który właśnie wykluwał się z jajka. Był śliczny! Od razu przypomniałeś mi się ty... noworodek z ogromnymi brązowymi oczami...

Uwielbiam słuchać historii o tym, jak byłem mały. Czasem mam ochotę zwinąć się w kłębek, dać się tulić i całować. Chętnie stałbym się

znowu niemowlakiem, który nic nie wie. Ale podczas tej rozmowy nie byłem w nastroju na takie opowieści.

– Nie chcę iść do szkoły – powtórzyłem.

– Może przynajmniej spotkałbyś się z panem Tushmanem* przed podjęciem decyzji? Co ty na to?

– Z panem Tushmanem?

– Wicedyrektorem – wyjaśniła mama.

– Naprawdę tak się nazywa?

– Dobrze, co? – wtrącił się tato i z rozbawioną miną spojrzął na mnie w lusterku wstecznym. – Wyobrażasz sobie, jak go przezywają, Auggie? Kto chciałby nosić takie nazwisko?

Uśmiechnąłem się, choć wołałem, żeby rodzice nie zauważyli uśmiechu na mojej twarzy. Tato był jedyną osobą na świecie, która potrafiła mnie rozśmieszyć, nawet gdy wcale nie chciało mi się śmiać. On rozbawiłby każdego.

– Wiesz, Auggie, warto zostać uczniem tej szkoły choćby po to, żeby słyszeć te wszystkie żarty z jego nazwiska! – ciągnął podekscytowanym głosem. – Pomyśl sobie, ile będzie zabawy. „Uwaga, uwaga! Pan Dupman proszony jest na posiedzenie”. – Tato naśladował wysoki głos starszej pani. – „Pan Dupman może odebrać duplikaty dokumentów”.

Parsknałem śmiechem wcale nie dlatego, że te dowcipy tak bardzo mnie rozweseliły, ale dlatego, że odechciało mi się gniewać.

– A może być jeszcze gorzej! – mówił dalej tato już swoim głosem. – Gdy byliśmy z mamą w college’u, uczyła nas niejaka pani Butt**.

Mama śmiała się razem z nami.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Nazywała się Roberta Butt – powiedziała mama, unosząc rękę jak do przysięgi. – Pieszczotliwie mówiliśmy o niej: Bobbie Tyłeczek.

– Miała wydatne policzki – dodał tato.

– Nate! – wykrzyknęła mama.

– Chodziło mi tylko o to, że była puciołowata.

* *Tush* (w amerykańskiej angielszczyźnie) – tyłek, zadek. *Man* (ang.) – człowiek, mężczyzna.

** *Butt* (ang.) – tyłek, zadek.

Mama pokręciła ze śmiechem głową.

– Słuchajcie, mam pomysł! – zawołał tato. – A gdyby tak umówić ich na randkę w ciemno? Wyobrażacie to sobie? „Pani Tyłeczek, to jest pan Dupman”. „Panie Dupman, oto pani Tyłeczek”. Z czasem by się pobrali i mieli gromadkę małych Dupmanków.

– Tylko współczuć panu Tushmanowi – odparła z westchnieniem mama. – Robisz sobie żarty z człowieka, którego Auggie jeszcze nie zna, Nate!

– Kto to jest pan Tushman? – wymamrotała Via, ocknąwszy się ze snu.

– Wicedyrektor mojej nowej szkoły – odrzekłem.

U pana Tushmana

Przed spotkaniem z panem Tushmanem dostałbym jeszcze większej tremy, gdybym wiedział, że mam również poznać paru uczniów. Ale nie uprzedzono mnie, więc było mi raczej do śmiechu. Ciągłe chodziły mi po głowie żarty, jakie tato robił sobie z jego nazwiska. Gdy razem z mamą przybyliśmy do szkoły podstawowej Beechera kilka tygodni przed rozpoczęciem roku szkolnego i zobaczyłem pana Tushmana, który czekał na nas przy wejściu, od razu zacząłem chichotać. Byłem trochę zaskoczony, bo wcale nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażałem. Nie miał okazałego tyłka i w ogóle robił wrażenie całkiem normalnego gościa. Wysoki i szczupły. Stary, ale nie tak bardzo. Chyba dość sympatyczny. Podał rękę najpierw mamie.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Miło pana znowu widzieć – odezwała się mama. – To mój syn, August.

Pan Tushman spojrzał wprost na mnie, uśmiechnął się i skinął głową, wyciągając do mnie rękę.

– Dzień dobry. – Przywitał się zupełnie naturalnie. – Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Dzień dobry – wymamrotałem.

Podaliśmy mu wiotką dłoń i wbiłem wzrok w jego buty. Miał czerwone adidasy.

– Dużo o tobie słyszałem od twoich rodziców – mówił dalej, kucając przede mną tak blisko, że nie mogłem patrzeć na buty, tylko musiałem spojrzeć mu w twarz.

– Co na przykład? – zapytałem.

– Słucham?

– Mów głośniej, kochanie – zwróciła mi uwagę mama.

– Co na przykład? – powtórzyłem.

– Że lubisz czytać – odparł – i że masz zdolności artystyczne. – Oczy pana Tushmana były niebieskie, okolone białymi rzęsami. – Poza tym interesują cię przedmioty ściśle, zgadza się?

– Uhm. – Kiwnąłem głową.

– Prowadzimy bardzo ciekawe zajęcia fakultatywne z przedmiotów ścisłych – oznajmił. – Może któreś z nich wybierzesz?

– Uhm – mruknąłem, choć nie miałem pojęcia, co to są zajęcia fakultatywne.

– No dobrze. Idziemy obejrzeć szkołę?

– Teraz?

– Myślałeś, że wybierzemy się do kina? – zapytał z uśmiechem i podniósł się z kucek.

– Nic nie mówiłaś o zwiedzaniu szkoły – zwróciłem się do mamy oskarżycielskim tonem.

– Auggie... – Nie dokończyła zdania.

– Będzie dobrze. Obiecuję – powiedział pan Tushman, wyciągając do mnie rękę.

Chyba chciał zaprowadzić mnie do szkoły, ale wolałem trzymać się mamy. Uśmiechnął się i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Mama ścisnęła mnie lekko za rękę. Nie wiem, czy to miało oznaczać „kocham cię”, czy „przepraszam”. Prawdopodobnie jedno i drugie po trochu.

Do tej pory byłem tylko w szkole mojej siostry, dokąd rodzice zabierali mnie, gdy śpiewała na wiosennych koncertach i różnych takich imprezach. Ta szkoła była zupełnie inna. Przede wszystkim mniejsza. Zalaływało w niej szpitalem.

Sympatyczna pani García

Szliśmy za panem Tushmanem, skręcając to w jeden, to w drugi korytarz. Nie kłębiło się tam od uczniów, a ci nieliczni raczej mi się nie przyglądali, choć możliwe, że w ogóle mnie nie widzieli. Właściwie chowałem się za mamą. Wiem, że to dziecinada, ale akurat wtedy nie byłem szczególnie przebojowy.

W końcu zaszliśmy do małego pokoju z tabliczką na drzwiach: „Gabinet wicedyrektora”. W środku siedziała za biurkiem przyjemnie wyglądająca kobieta.

– To pani García – przedstawił ją pan Tushman.

Uśmiechnęła się do mamy, zdjęła okulary i wstała z krzesła.

– Isabel Pullman. – Mama uściśnęła jej dłoń. – Miło panią poznać.

– A to jest August – powiedział pan Tushman.

Mama odsunęła się na bok, tak że znalazłem się z przodu. I wtedy stało się to, co widziałem już milion razy. Gdy uniosłem głowę i spojrzałem na panią Garcíę, na sekundę spuściła wzrok. Zrobiła to tak szybko, że nikt by nie zauważył, bo poza tym ani trochę nie zmieniła się na twarzy. Rozpływała się w uśmiechu.

– Cieszę się, że mogę cię poznać – przywitała się, podając mi rękę.

– Dzień dobry – odrzekłem cicho, ściskając jej dłoń.

Nie chciałem jednak spojrzeć jej w oczy, więc gapilem się na okulary wiszące na łańcuszku na szyi.

– Ho, ho, jaki mocny uścisk! – zauważyła pani García.

Miała bardzo ciepłą rękę.

– Zabójczo mocny – wtrącił pan Tushman i nad moją głową rozległ się śmiech całej trójki.

– Mów mi: pani G. – Nadal zwracała się do mnie, ale ja przyglądałem się teraz przedmiotom na jej biurku. – Wszyscy tak mówią. „Pani G., jaki jest kod do mojego schowka?”. „Pani G., poproszę przepustkę dla spóźnionych”. „Pani G., chcę się przepisać na inne zajęcia fakultatywne”.

– Tak naprawdę rządzi tu pani G. – oświadczył pan Tushman i dorosli znowu parsknęli śmiechem.

– Jestem w szkole co dzień od wpół do ósmej – ciągnęła pani Garcia. Wciąż nie odrywała ode mnie wzroku, natomiast ja wpatrywałem się w jej brązowe sandały z fioletowymi kwiatkami przy sprzączkach. – Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, czegokolwiek, przyjdź do mnie.

– Dobrze – bąknąłem.

– O, jaki uroczy bobas – zachwyciła się mama, wskazując jedno ze zdjęć na tablicy ogłoszeń. – Pani synek?

– Skądże! Dziękuję za komplement. – Pani Garcia uśmiechnęła się szeroko, ale już nie rozplywała się w uśmiechu jak dotychczas. – To mój wnuk.

– Co za słodziak! W jakim jest wieku?

– Na tym zdjęciu ma chyba pięć miesięcy. Teraz jest dużym chłopcem. Niedługo skończy osiem lat.

– Kto by pomyślał? – Mama pokiwała z podziwem głową. – Prześliczny maluch.

– Miło słyszeć. – Pani Garcia miała taki wyraz twarzy, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze o swoim wnuku, ale naraz jej uśmiech troszkę się skurczył. – Zaopiekujemy się Augustem jak najlepiej – zapewniła mamę.

Zauważyłem, że jednocześnie ścisnęła ją lekko za rękę. Spojrzałem na twarz mamy i dopiero wtedy zorientowałem się, że jest zdenerwowana tak jak ja. Chyba podobała mi się pani Garcia... gdy jej twarz nie rozplywała się w uśmiechu.

Jack Will, Julian i Charlotte

Pan Tushman wprowadził nas do niewielkiego pokoju naprzeciwko biurka pani Garcii. Zamknął drzwi i usiadł za dużym biurkiem, nie przestając mówić, ale właściwie go nie słuchałem. Przyglądałem się różnym rzeczom na blacie. Były fajne, na przykład globus bujający się w powietrzu i coś w rodzaju kostki Rubika pokrytej małutkimi lusterkami. Bardzo mi się podobał ten gabinet, zwłaszcza świetne rysunki i obrazki uczniów, oprawione w ramki i powieszzone na ścianach jak dzieła sztuki.

Mama usiadła na krześle przed biurkiem, a ja wolałem stać przy niej, chociaż tuż obok znajdowało się drugie krzesło.

– Dlaczego pan ma swój pokój, a pani G. nie ma? – spytałem.

– Chodzi ci o to, dlaczego mam własny gabinet?

– Mówił pan, że ona tu rządzi.

– Aha! To był tylko żart. Pani G. jest moją sekretarką.

– Pan Tushman jest zastępcą dyrektora i zajmuje się klasami średnimi – wyjaśniła mama.

– Ludzie mówią do pana: panie T.? – Moje pytanie wywołało uśmiech na jego twarzy.

– A wiesz, kto to jest pan T.*? Może znasz wyrażenie: „Żal mi durnia”? – Powiedział to dziwnym, ostrym tonem, jakby kogoś naśladował.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

* Pan T. (Laurence Tureaud), aktor znany z serialu *Drużyna A* i filmu *Rocky III*. Z tego filmu pochodzi przytoczona kwestia: *I pity the fool*, która przeszła do języka potocznego.

– Wracając do twojego pytania. Nie, nikt nie mówi do mnie: panie T. Choć mam wrażenie, że wymyślono mi różne przezwiska, których części nawet nie znam. Bądźmy szczerzy, z takim nazwiskiem jak moje niełatwo jest żyć. Rozumiesz, co mam na myśli?

Muszę przyznać, że wybuchnąłem wtedy śmiechem, bo świetnie wiedziałem, co ma na myśli.

– Mamę i tatę uczyła pani Butt, którą przezywali Tyłeczkiem.

– Auggie! – zawołała mama, ale pan Tushman się roześmiał.

– No cóż, miała ciężko. – Pokręcił głową. – Chyba nie powinienem narzekać. Posłuchaj, Auguście, pomyślałem, że moglibyśmy dzisiaj...

– Czy to dynia? – spytałem, wskazując oprawiony w ramki obrazek za biurkiem.

– Auggie, kochanie, nie przerywaj panu w pół zdania – upomniała mnie mama.

– Podoba ci się? – Pan Tushman odwrócił się i spojrzał na obrazek. – Mnie też. W pierwszej chwili również myślałem, że ta praca przedstawia dynię, ale jej ofiarodawca wyjaśnił, że to nie dynia, tylko... zapewne się zdziwisz... mój portret! No powiedz, Auguście, czy ja naprawdę jestem aż tak podobny do dyni?

Na głos powiedziałem stanowczo „nie”, a w duchu „tak”. Wydymające się przy uśmiechu policzki upodabniały jego twarz do halloweenowej lampy z wydrążonej dyni. Gdy to sobie uprzytomniłem, stanęła mi w pamięci rozmowa o policzkach i panu Dupmanie. Rozbawiony, próbowałem zduścić chichot, kręcąc głową i zasłaniając ręką usta.

Pan Tushman uśmiechnął się, jakby czytał w moich myślach.

Już miałem wspomnieć o czymś innym, gdy nagle zza drzwi doleciały mnie głosy. Kiedy się zorientowałem, że to rozmawiają dzieciaki, serce zaczęło mi walić jak po przebiegnięciu maratonu, nie przesadzam. Chęć do śmiechu przeszła mi w jednej chwili.

Sprawa polega na tym, że gdy byłem mały, bez oporów zawierałem znajomości z dziećmi, bo wszystkie też były bardzo małe. Maluchy mają tę fajną cechę, że nie mówią rzeczy po to, by zranić czyjeś uczucia, choć czasem tak bywa. One zwyczajnie nie wiedzą, co mówią. Ale ze starszymi

dziećmi jest inaczej: wiedzą, co mówią. I to zdecydowanie mnie nie bawi. W zeszłym roku zapuściłem włosy również dlatego, że lubię, jak grzywka spada mi na oczy – w ten sposób odcinam się od tego, czego nie chcę widzieć.

Rozległo się pukanie i pani Garcia wsunęła głowę do pokoju.

– Już przyszli, panie dyrektorze – oznajmiła.

– Kto? – spytałem.

Pan Tushman podziękował pani Garcia i zwrócił się do mnie:

– Pomyślałem, Auguście, że powinieneś poznać paru uczniów spośród tych, którzy będą korzystali przed lekcjami z tej samej świetlicy co ty. Zapewne oprowadzą cię po szkole, pokażą, jak się poruszać w terenie, można to tak nazwać.

– Nie chcę nikogo poznawać – oświadczyłem, patrząc na mamę.

Ni stąd, ni zowąd pan Tushman znalazł się przede mną, wziął mnie za ramiona, nachylił się i bardzo cicho powiedział mi do ucha:

– Będzie dobrze. To są miłe dzieciaki, daję słowo.

– Poradzisz sobie, Auggie – szepnęła z całą mocą mama.

Nie zdążyła dodać nic więcej, bo pan Tushman otworzył drzwi.

– Wejdźcie – zaprosił do środka dwóch chłopców i dziewczynkę.

Żadne z nich nie popatrzyło na mnie ani na mamę, tylko stanęli przy drzwiach i nie odrywali wzroku od pana dyrektora, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci.

– Dziękuję, że przyszliście. Rok szkolny zaczyna się dopiero w przyszłym miesiącu, więc tym bardziej należą się wam podziękowania – mówił dalej pan Tushman. – Mieliście udane wakacje?

Wszyscy kiwnęli głowami, nikt się nie odezwał.

– Cieszę się. – Po tym wstępie przeszedł do rzeczy. – Zaprosiłem was tutaj, żebyście poznali Augusta, który rozpoczyna naukę w naszej szkole. Ci uczniowie, Auguście, są z nami od zerówki. Choć szkoła podstawowa niższa mieści się w osobnym budynku, świetnie znają program klas średnich. Ponieważ będziecie korzystali z tej samej świetlicy, sądzę, że chętnie poznacie się trochę wcześniej. W porządku? A zatem, to jest August. Auguście, to jest Jack Will.

Chłopak spojrział na mnie i wyciągnął rękę. Gdy ją uściśnałem, uśmiechnął się jakby trochę półgębkiem, powiedział: „Cześć” i szybko spuścił wzrok.

– To jest Julian – ciągnął pan Tushman.

– Cześć – przywitał się drugi chłopak i zachował tak samo jak tamten, podał mi rękę, zmusił się do uśmiechu i szybko spuścił wzrok.

– A to Charlotte.

Dziewczyna była najjaśniejszą blondynką, jaką widziałem w życiu. Nie podała mi ręki, tylko pomachała krótko i powiedziała z uśmiechem:

– Cześć, August. Miło cię poznać.

– Cześć.

Spojrzałem w dół. Charlotte miała na nogach jasnozielone crocasy.

– No dobrze. – Pan Tushman złożył dłonie z lekkim klaśnięciem. – Może zabierzecie Augusta na małą wycieczkę po szkole? Zaczniście od drugiego piętra, tam będzie wasza świetlica. Sala dwieście jeden, tak mi się zdaje. Pani G., czy...

– Sala dwieście jeden! – zawołała pani Garcia z drugiego pokoju.

– Otóż to. Potem możecie zaprowadzić Augusta do laboratoriów i pracowni komputerowej. Następnie zejdźcie na pierwsze piętro do biblioteki i sali widowiskowej. Pokażcie mu oczywiście stołówkę.

– Salę muzyczną też? – zapytał Julian.

– Dobry pomysł. – Pan Tushman kiwnął głową i zwrócił się do mnie: – Grasz na jakimś instrumencie?

– Nie.

Lekcje muzyki nie należały do moich ulubionych, bo właściwie nie mam uszu. To znaczy mam, ale nie wyglądają jak normalne uszy.

– Mimo to sala muzyczna może ci się spodobać. Jest tam sporo instrumentów perkusyjnych – dodał dla zachęty.

– Mówiłeś, że chciałbyś się uczyć gry na perkusji – wtrąciła mama, próbując przyciągnąć mój wzrok, ale na oczy spadała mi grzywka i wpatrywałem się w starą gumę do żucia przyklejoną pod blatem biurka.

– Świetnie! No to ruszajcie – powiedział pan Tushman. – Spodziewam się was za... – Spojrział na mamę. – Około pół godziny?

Zdaje się, że kiwnęła głową.

– Pasuje ci to, Augustynie? – spytał mnie.

Nie odpowiedziałem.

– Pasuje ci? – powtórzyła mama.

Dopiero wtedy na nią popatrzyłem. Chciałem pokazać, że doprowadziła mnie do wściekłości. Ale widząc jej minę, tylko skinąłem głową. Mama była równie wystraszona jak ja.

Dzieciaki już wychodziły z gabinetu, więc ruszyłem za nimi.

– Do zobaczenia – powiedziała.

Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, trochę piskliwie. Nie odezwałem się.

CUDOWNY
CHŁOPAK
i ja

3 CUDOWNE HISTORIE

Jak zwykle

No dobrze, dobrze.

Tak, wiem.

Nieładnie zachowałem się wobec Augusta Pullmana!

Wielkie rzeczy. Ludzie, świat się nie zawali! Przestańmy robić z tego tragedię, co? Na całym szerokim świecie nie wszyscy są dla siebie mili. Tak już jest. Opuśćcie sobie! Czas się ruszyć i zająć własnym życiem, nie uważacie?

Jezu!

Nic nie łąpię. Naprawdę. Raz jestem najbardziej popularnym chłopakiem wśród piątoklasistów. A za chwilę czuję się jak... sam nie wiem. Nieważne. Jest do bani. Cały ten rok jest do bani! Auggiego Pullmana w ogóle nie należało wpuszczać do szkoły podstawowej Beechera! Powinien zasłaniać swoją wstrętną buźkę jak ten facet z przedstawienia *Upiór w operze* albo coś w tym rodzaju. Noś maskę, Auggie! Nie pokazuj mi się na oczy. Byłoby dużo lepiej, gdybyś po prostu zniknął.

Przynajmniej dla mnie. Wcale nie twierdzę, że on ma fajnie. Na pewno nie jest mu łatwo, gdy codziennie patrzy na siebie w lustrze albo idzie ulicą. Ale to nie mój problem. Ja mam problem z tym, że wszystko się zmieniło, jak on przyszedł do mojej szkoły. Koledzy są inni. Ja jestem inny. I w ogóle jest kompletnie do kitu.

Wolałbym, żeby było tak jak w czwartej klasie. Świetna zabawa. Graliśmy na boisku w takie uproszczone rugby i nie przechwalam się, ale koledzy zawsze chcieli, żebyśmy z nimi grał, jasne? Tak tylko mówię. Każdy

chciał być ze mną w parze, gdy mieliśmy do wykonania jakiś projekt. I jak powiedziałem coś zabawnego, wszyscy się śmiali.

W czasie lunchu zawsze siedziałem ze swoimi ludźmi – i to było to. Nasza paczka. Henry, Miles, Amos, Jack. To było to! Ekstrasprawa. Mieliśmy swoje tajne żarty, różne geściki oznaczające różne rzeczy.

Nie wiem, dlaczego to musiało się zmienić. Nie wiem, dlaczego wszyscy ogłupieli.

Gdzie tam, dobrze wiem dlaczego: z powodu Auggiego Pullmana. Ledwie się pojawił, a już nic nie działało się jak dawniej. Przedtem było normalnie. A teraz się pochrzało. Przez niego.

No i przez pana Tushmana. W gruncie rzeczy całą winę ponosi pan Tushman.

Rozmowa przez telefon

Pamiętam, jaka przejęta była moja mama po rozmowie z panem Tushmanem. Tamtego wieczoru przy kolacji rozwodziła się, jaki to wielki zaszczyt. No bo zadzwonił do nas dyrektor klas średnich z mojej szkoły podstawowej* i zapytał, czy mógłbym zaopiekować się jakimś nowym uczniem. O rany! Fantastycznie! Mama zachowywała się tak, jakbym dostał Oscara albo coś w tym rodzaju. Jej zdaniem dowodziło to, że w tej szkole potrafią dostrzec „wyjątkowych” uczniów – rewelacyjna sprawa. Mama jeszcze nie poznała pana Tushmana – był dyrektorem szkoły podstawowej średniej, a ja chodziłem do niższej – ale piała z zachwytem, jak miło z nią rozmawiał.

Mama od dawna jest w szkole szychą. Zasiada w radzie nadzorczej, cokolwiek to znaczy, na pewno coś ważnego. Ciągłe zgłasza się na ochotnika do różnych prac. Na przykład zawsze była „mamą klasową”, to znaczy zajmowała się sprawami organizacyjnymi w mojej klasie. Rok w rok. Dużo robi dla szkoły.

W dniu, gdy miałem pokazać temu nowemu szkołę, mama odwiozła mnie pod budynek. Chciała zaprowadzić mnie pod drzwi, ale szybko powiedziałem: „Mamo, to szkoła średnia!”. Od razu zrozumiała i odjechała, zanim jeszcze wszedłem do środka.

*W szkole podstawowej Beechera jest zerówka (do której idą pięciolatki) oraz szkoła niższa (klasy I–IV), średnia (klasy V i VI) i wyższa (klasy VII i VIII); każda ma swojego wicedyrektora. Szkoły niższa i średnia mieszczą się w oddzielnych budynkach.

Charlotte Cody i Jack Will już czekali w holu. Powiedzieliśmy „cześć”, Jack i ja uścisnęliśmy sobie ręce, tak jak zwykle witamy się w naszej paczce, i pozdrowiliśmy ochroniarza. Potem we trójkę poszliśmy do gabinetu pana Tushmana. Pusta szkoła, bez uczniów, robiła dziwne wrażenie!

– Zobacz, kolo, moglibyśmy tu jeździć na deskorolce i nikt by o tym nie wiedział! – zawołałem do Jacka, gdy biegaliśmy i ślizgaliśmy się po posadzce, już niewidoczni dla ochroniarza.

– No chyba – odparł Jack.

Zauważyłem, że im bliżej było do gabinetu, tym mniej się odzywał. Właściwie wyglądał tak, jakby miał puścić pawia.

Prawie na samej górze schodów zatrzymał się i powiedział:

– Nie mam na to ochoty!

Stanąłem przy nim. Charlotte już była na podeście.

– Chodźcie! – krzyknęła.

– Nie rządz się! – odkrzyknąłem.

Pokręciła głową i przewróciła oczami. Ubawiony szturchnąłem Jacka łokciem. Uwielbialiśmy droczyć się z Charlotte. Bo taka z niej chodząca dobroć!

– Porąbana sprawa – mruknął Jack, pocierając dłonią policzek.

– Jaka sprawa? – zapytałem.

– Wiesz, kto to jest ten nowy?

Nie wiedziałem.

– A ty wiesz, prawda? – zwrócił się do Charlotte.

Charlotte zeszła kilka stopni.

– Chyba tak. – Skrzywiła się, jakby zjadła coś niedobrego.

Jack walnął się trzy razy w głowę.

– Byłem kretynek, że się zgodziłem – wycedził przez zęby.

– Chwila, kto to taki? – Złapałem Jacka za ramię i odwróciłem go przodem do siebie.

– To ten August. No wiesz, dzieciak z twarzą.

Nie miałem pojęcia, o kim on mówi.

– Wyglupiasz się? Nie widziałeś chłopaka? Mieszka w tej dzielnicy! Czasem przychodzi na plac zabaw. Musiałeś go widzieć. Jak wszyscy!

– On nie mieszka w tej dzielnicy – wtrąciła Charlotte.
– Właśnie że tak! – zirytował się Jack.
– Mówię, że Julian nie mieszka w tej dzielnicy – odparła, równie zirytowana.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytałem.
– Wszystko jedno! – uciał Jack i zwrócił się do mnie. – Ma znaczenie. Wierz mi, kolo, czegoś takiego jeszcze nie widziałeś.

– Nie bądź wstrętny, Jack – zganiła go Charlotte. – To nieładnie.
– Nie jestem wstrętny! – oburzył się Jack. – Tylko mówię prawdę.
– To jak on właściwie wygląda? – spytałem, tracąc już cierpliwość.
Jack stał w miejscu i kręcił głową, bez słowa. Spojrzałem na Charlotte: zmarszczyła brwi.

– Sam zobaczysz – powiedziała. – No, chodźmy wreszcie.
Poszła na górę i skręciła w korytarz prowadzący do gabinetu pana Tushmana.

– No, chodźmy wreszcie – zwróciłem się do Jacka, idealnie naśladowując Charlotte. Byłem przekonany, że to go rozbawi, ale nie rozbawiło. – Rusz się, kolo!

Zamachnąłem się, jakbym chciał dać mu w zęby. Dopiero wtedy zaśmiał się krótko i w odpowiedzi zamierzył się na mnie w zwolnionym tempie. Zaczęła się przepychanka, gdy jeden drugiego próbował dźgnąć pod żebro.

Charlotte wróciła i zawołała ze szczytu schodów:
– Chłopaki, idziemy!
– Chłopaki, idziemy! – szepnąłem do Jacka i tym razem jakby się roześmiał.

Ale pod gabinetem pana Tushmana trzeba było wysilić się na powagę. Weszliśmy do sekretariatu. Pani Garcia kazała nam zaczekać u siostry Molly, pielęgniarki szkolnej, która miała swój pokój obok gabinetu pana Tushmana. Staliśmy tam, nie odzywając się słowem. Miałem ochotę nadmuchać lateksową rękawiczkę, którą zobaczyłem w pudełku przy kozetce, ale się powstrzymałem, choć na pewno byłoby śmiesznie.

Pan Tushman

Do pokoiku wszedł pan Tushman. Był wysoki, dość szczupły i miał rozwichrzone siwe włosy.

– Cześć, dzieciaki – powitał nas z uśmiechem. – Nazywam się Tushman. To jest zapewne Charlotte. – Uścisnął jej rękę. – A ty masz na imię...? – Spojrzał na mnie.

– Julian.

– Julian – powtórzył, uśmiechając się, i wyciągnął do mnie rękę. – A ty nazywasz się Jack Will. – Też podał mu rękę.

Usiadł na krześle obok biurka siostry Molly.

– Przede wszystkim chciałbym wam serdecznie podziękować, że tu przyszliście. Wiem, że dzisiaj jest gorąco i prawdopodobnie mieliście na to popołudnie inne plany. Jak się udały wakacje? Jesteście zadowoleni?

Wymieniliśmy spojrzenia, lekko kiwając głowami.

– A jak panu minęło lato? – odezwałem się.

– Miło, że pytasz, Julianie, dziękuję! Było wspaniałe. Choć przyznam, że z niecierpliwością czekam na jesień. Nie znoszę upałów. – Pociągnął za koszulę, żeby się ochłodzić. – Dla mnie mogłaby już nadejść zima.

Nasza trójka kiwała głowami jak jakieś bezmózgi. Nie rozumiem, dlaczego dorosłym chce się ucinąć pogawędki z dziećmi. Czujemy się wtedy zwyczajnie głupio. Ja osobiście niezłe sobie radzę w rozmowach

z dorosłymi – może dlatego, że dużo podróżuję i mam w tym doświadczenie – ale większość dzieci nie lubi z nimi rozmawiać. Tak już jest. To znaczy, gdy widzę rodziców jakiegoś mojego kumpla i nie jesteśmy wtedy w szkole, staram się unikać kontaktu wzrokowego, żeby nie musiał rozmawiać. Czułbym się głupio. Tak samo czułbym się głupio, gdybym poza szkołą natknął się na któregoś z moich nauczycieli. Na przykład kiedyś widziałem w restauracji nauczycielkę z trzeciej klasy z jej facetem i aż zrobiło mi się niedobrze. Nie mam ochoty patrzeć, jak moja nauczycielka prowadzi się ze swoim facetem, jasne?

No więc staliśmy w pokoiku pielęgniarki, ja, Charlotte i Jack, i potakiwaliśmy jak lalki z kiwającymi głowami, a pan Tushman gadał i gadał o wakacjach, aż – wreszcie! – przeszedł do rzeczy.

– A zatem, moi drodzy – klepnął się w uda – naprawdę miło z waszej strony, że zechcieliście poświęcić dzisiejsze popołudnie na tę sprawę. Za chwilę zabiorę was do swojego gabinetu i przedstawię nowemu uczniowi. Najpierw jednak chciałbym przekazać wam pewne informacje na jego temat. Wspominałem o tym waszym mamom... Rozmawiały z wami?

Charlotte i Jack przytaknęli, ja zaprzeczyłem.

– Moja mama powiedziała tylko, że miał dużo operacji – dodałem.

– Zgadza się. A mówiła ci o jego twarzy? – zapytał pan Tushman.

Przyznaję, że w tym momencie przeleciało mi przez myśl: „Co ja tu robię, do diabła?”.

– Bo ja wiem? – bąknąłem, drapiąc się w głowę.

Usiłowałem przypomnieć sobie słowa mamy. Nie słuchałem jej uważnie. Chyba cały czas głądziła, że ten wybór to dla mnie wielki zaszczyt. Nie podkreślała jakoś szczególnie, że coś jest nie tak z tym chłopakiem.

– Zdaje się, że mówił jej pan o bliźnach czy coś w tym rodzaju. I że ten chłopak wygląda, jakby wyszedł z pożaru.

– Nic podobnego – odparł pan Tushman, robiąc zdziwioną minę. – Powiedziałem twojej mamie tylko tyle, że ten chłopiec urodził się z poważnymi anomaliami twarzoczaszki...

– Właśnie, właśnie – przerwałem mu, bo coś mi się przypomniało. – Użyła tego słowa i wytłumaczyła mi, że to tak jak rozszczępiona warga.

Pan Tushman zmarszczył brwi.

– Hm – mruknął, unosząc ramiona i kręcąc głową. – Raczej coś poważniejszego. – Wstał i poklepał mnie po plecach. – Przykro mi, powinienem był wyjaśnić to twojej mamie jasno i wyraźnie. W każdym razie nie chcę, żebyście czuli się nieswojo. I właśnie dlatego rozmawiam teraz z wami. Chcę was zawczasu poinformować, że ten chłopiec wygląda zupełnie inaczej niż reszta dzieci. To żadna tajemnica. On wie, że wygląda inaczej. Taki się urodził. Rozumie, dlaczego taki jest. To wspaniały chłopak. Bardzo bystry. Bardzo sympatyczny. Do tej pory nie chodził do szkoły, ponieważ miał lekcje w domu, rozumiecie, z powodu tych operacji. Dlatego chciałbym, żebyście pokazali mu, jak tu jest, poznali go bliżej, otoczyli opieką. Pytajcie go, o co chcecie. Rozmawiajcie normalnie. On jest normalnym dzieckiem, choć ma twarz... no wiecie, nie całkiem normalną. – Popatrzył na nas i wciągnął głęboko powietrze. – Ojej, chyba speszyłem was jeszcze bardziej, prawda?

Pokręciliśmy głowami. Pan Tushman potarł dłonią czoło.

– Coś wam powiem. Gdy człowiek ma tyle lat co ja, zdaje sobie sprawę, że czasem może się znaleźć w zupełnie nowej sytuacji i nie będzie wiedział, co robić. Nie ma takiego podręcznika, który mówi, jak się zachować w każdych okolicznościach. Dlatego zawsze powtarzam, że lepiej błędzić z życzliwości. To jest klucz do wszystkiego. Jeżeli nie wiesz, co robić, kieruj się życzliwością. Wtedy nigdy nie postąpisz źle. I postanowiłem właśnie was troje poprosić o pomoc, ponieważ słyszałem od waszych nauczycieli ze szkoły niższej, że jesteście naprawdę miłymi dziećmi.

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, więc tylko zrobiliśmy głupie miny.

– Traktujcie go jak każdego nowego kolegę. Tyle mam wam do powiedzenia. W porządku?

Tym razem kiwnęliśmy głowami jednocześnie. Jak lalki.

– Jesteście ekstra – powiedział pan Tushman. – A teraz odprężcie się i poczekajcie tutaj. Za parę minut przyjdzie po was pani Garcia. – Otwo-

rzył drzwi. – Jeszcze raz serdecznie wam dziękuję. Dobry uczynek tworzy dobrą karmę. Jest micwą, wiecie?

Uśmiechnął się, mrugnął do nas i wyszedł z pokoju.

Wypuściliśmy powietrze z płuc, wszyscy naraz. Spojrzeliśmy po sobie wielkimi oczami.

– No dobra – odezwał się Jack. – Nie mam bladego pojęcia, co to takiego karma. Ani co to micwa.

Zachichotaliśmy, ale trochę nerwowo.

Pierwsze spojrzenie

Nie będę wdawał się w szczegóły, jak minęła reszta tego dnia. Stwierdzam tylko, że Jack, który zwykle przesadza, zrobił wtedy coś przeciwnego, jak nigdy dotąd. Jak to się mówi: niedosadził? Nie wiem. Tak czy siak to, co powiedział o twarzy tego chłopaka, nie było przesadzone.

Gdy pierwszy raz zobaczyłem Augusta, chciałem, rozumiecie, zakryć oczy i uciec z wrzaskiem. Szok. Wiem, że to brzmi okropnie, i jest mi z tego powodu przykro. Ale taka jest prawda. Jeśli ktoś twierdzi, że nie czuł się tak, widząc tego chłopaka po raz pierwszy, to oszukuje. Poważnie.

Na widok Augusta chciałem odwrócić się i wyjść, słowo daję, ale wiedziałem, że miałbym wtedy kłopoty. Więc wbiłem wzrok w pana Tushmana i starałem się skupić na tym, co mówił, ale słyszałem tylko: bla, bla, bla, bo piekły mnie uszy. A w głowie kołatało mi się na okrągło: Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo!

Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo!

Chyba z tysiąc razy wypowiedziałem w duchu to słowo. Nie wiem dlaczego.

W pewnej chwili pan Tushman przedstawił nas Auggiemu. O rany! Zdaje się, że nawet uściśnąłem mu rękę. Potrójne „o rany!”. Chciałem

dać dyla i umyć rękę. Ale nim się zorientowałem, już byliśmy za progiem, szliśmy korytarzem, a potem schodami na górę.

Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo! Kolo!

W drodze do świetlicy uchwyciłem spojrzenie Jacka. Otworzyłem jak najszerzej oczy i powiedziałem samymi ustami:

– Wykluczone!

– Nie mówiłem? – odpowiedział też niemo Jack.

Błady strach

Któregoś wieczoru, miałem wtedy z pięć lat, oglądałem w telewizji serial *SpongeBob* i w trakcie odcinka nadano reklamę, która napędziła mi okropnego strachu. To było parę dni przed Halloweenem. O tej porze roku często leciały trochę makabryczne reklamy, ale ta zapowiadała nowy dreszczowiec dla nastolatków, o którym dotąd nie słyszałem. Nagle wyskoczyła na ekranie twarz zombie w zbliżeniu. Byłem kompletnie przerażony. Jak człowiek, który krzycząc i machając rękami, wybiega z pokoju. SPA-NI-KO-WA-NY.

Ze strachu, że znowu zobaczę tę twarz, przestałem oglądać telewizję, aż minęło Halloween i filmu nie grano już w kinach. Powaga, w ogóle nie oglądałem telewizji – tak mnie wzięło!

Niedługo potem poszedłem się bawić do jakiegoś chłopaka – już nie pamiętam, jak miał na imię – był wielkim fanem Harry’ego Pottera i puścił któryś z filmów o Harrym (wcześniej żadnego nie widziałem). Gdy pierwszy raz pokazała się twarz Voldemorta, zaczęło się to samo co przy tamtej halloweenowej reklamie. Wpadłem w histerię, wrzeszczałem i szlochałem jak malutkie dziecko. Mama tego chłopaka nie mogła mnie uspokoić i musiała ściągnąć moją mamę. Moja mama zezłościła się na tamtą panią, że pozwoliła mi oglądać ten film, i zaczęły się kłócić. Żeby się nie rozwodzić, powiem tylko, że nigdy więcej nie poszedłem się tam bawić. W każdym razie, przez ten czas od reklamy z zombie do sceny z Voldemortem byłem niezłe rozwalony.

Niestety tak się złożyło, że jakoś wtedy tato zabrał mnie do kina. Powtarzam, miałem z pięć lat. A może już sześć. Nic nie zapowiadało kłopotów: film był kategorii G, czyli dla wszystkich, całkiem w porządku i w ogóle niestraszny. Ale pokazano również zwiastun filmu o upiornych wróżkach. Historie o wróżkach są beznadziejne, wiadomo, i patrząc wstecz, nie mogę uwierzyć, co się ze mną stało – spanikowałem. Tato musiał mnie wyprowadzić, bo – kolejny raz! – nie mogłem powstrzymać płaczu. Co za wstyd! Sami rozumiecie: żeby bać się wrózek? I czego jeszcze? Fruwających kucyków? Szmacianych lalek? Płatków śniegu? Czyste wariactwo! Nic nie dało się zrobić – gdy wychodziłem z kina, trząśłem się i darłem, chowając twarz w płaszczu taty. Na pewno były na sali trzylatki, które patrzyły na mnie jak na kompletnego cieniasa!

Tak się dzieje, jak ogarnie cię strach. Nie można go opanować. Po prostu boisz się, i tyle. A gdy się boisz, wszystko staje się straszniejsze niż zwykle – nawet to, co wcale nie jest straszne. Wszystko, co cię przeraża, tak jakby zlepia się i tworzy coś megaprzerażającego. Masz wrażenie, że okrywa cię koc strachu, zrobiony z okruchów szkła, psiej kupy, ropnego śluzu i krwawiących pryszczki zombie.

Zaczęły się złe sny. Co noc budziłem się z krzykiem. Doszło do tego, że bałem się zasnąć, bo nie chciałem przeżywać tych koszmarów, i w końcu przeniosłem się do łóżka rodziców. Wcale nie na parę nocy – wstyd powiedzieć, ale spałem z rodzicami przez półtora miesiąca. Nie pozwalałem zgasić światła. Dostawałem napadów paniki, gdy tylko zapadałem w sen. Rozumiecie, ręce mi się pociły, serce waliło jak młotem i nawet jeszcze przed pójściem do łóżka zaczynałem krzyczeć i płakać.

Rodzice zaprowadzili mnie do pani doktor od uczuć, która była, jak zorientowałem się dopiero później, psychologiem dziecięcym. Pani Patel trochę mi pomogła. Dowiedziałem się, że mam „lęki nocne”, i po rozmowach z nią poczułem się lepiej. Tak naprawdę najbardziej pomogły mi jednak filmy przyrodnicze z Discovery Channel, które pewnego dnia przyniosła mi mama. Co to były za filmy! Co wieczór puszczałyśmy jeden z odtwarzacza DVD, a ja zasypiałem, słuchając faceta, który z angielskim akcentem opowiadał o surykatkach, misiach koala czy meduzach.

Koniec końców pozbyłem się tych koszmarów. Wszystko wróciło do normy. Ale co jakiś czas mam, jak to mówi mama, „lekkie nawroty”. Podam przykład. Dzisiaj uwielbiam *Gwiezdne wojny*, ale gdy pierwszy raz zobaczyłem *Atak klonów* – miałem wtedy osiem lat i spałem u kolegi po przyjęciu urodzinowym – musiałem o drugiej w nocy wysłać SMS-a do mamy, żeby po mnie przyjechała, bo nie mogłem zasnąć: zamykałem oczy i zaraz ukazywała mi się twarz Dartha Sidiousa. Ten nawrót minął dopiero po trzech tygodniach oglądania filmów przyrodniczych (i dopiero po roku zacząłem znów nocować u kolegów). Potem, kiedy miałem dziewięć lat, zobaczyłem pierwszy raz *Władcę Pierścieni: Dwie wieże* i znowu mi się to przytrafiło, tyle że obraz Golluma przestał mnie dręczyć już po tygodniu.

Gdy skończyłem dziesięć lat, te koszmary właściwie minęły. I również strach przed nimi. Na przykład, jak poszedłem do Henry’ego i on zaproponował obejrzenie dreszczowca, nie przychodziło mi natychmiast do głowy: „Lepiej nie, bo będę miał koszmary!” (a tak było dawniej). Pierwsza myśl była taka: „Dobra, fajnie! Mamy popcorn?”. W końcu mogłem już oglądać najróżniejsze filmy, nawet o apokalipsie zombie, i żaden mnie nie ruszał. Te męki miałem już za sobą.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

Do dnia, kiedy poznałem Augusta Pullmana. Tej samej nocy koszmary powróciły. Nie mogłem uwierzyć. Były to nie takie zwykłe złe sny, które czasami się zdarzają, ale koszmary na całego, tak że serce mi waliło i budziłem się z krzykiem, jak wtedy, gdy byłem mały. Tylko że teraz już nie byłem mały.

Chodziłem do piątej klasy! Miałem jedenaście lat! Coś takiego już nie powinno mi się przytrafiać!

Ale znów, tak jak dawniej – żeby zasnąć, oglądałem filmy przyrodnicze.

zdjęcie klasowe

Próbowałem wyjaśnić mamie, jak wygląda Auggie, ale to do niej nie docierało, dopóki nie przysły pocztą zdjęcia ze szkoły. Do tego dnia nigdy go nie widziała. Gdy odbywał się festyn z okazji Święta Dziękczynienia, mama była w podróży służbowej. W dniu otwarcia muzeum egipskiego Auggie przebrał się za mumię i miał gazę na twarzy. No i jeszcze nie zaczęły się koncerty urządzane po lekcjach. Tak więc pierwszy raz zobaczyła Auggiego i wreszcie zrozumiała, jak to jest z tymi moimi koszmarami, dopiero gdy otworzyła dużą kopertę ze zdjęciem klasowym.

Było dosyć śmiesznie. Mogę dokładnie powiedzieć, jak zareagowała, ponieważ otworzyła kopertę na moich oczach. Najpierw z przejęciem rozcięła górę koperty nożem do papieru. Potem wyjęła moje zdjęcie portretowe. Przyłożyła rękę do piersi i wykrzyknęła:

– Ho, ho, ależ ty jesteś przystojny, Julianie! Cieszę się, że założyłeś krawat, który przysłała ci *grandmère**.

Siedziałem akurat przy stole w kuchni i jadłem lody, więc tylko z uśmiechem kiwnąłem głową.

Patrzyłem, jak wyjmuje z koperty zdjęcie klasowe. W szkole niższej fotografowano każdą klasę z jej nauczycielem, natomiast w szkole średniej zrobiono jedno grupowe zdjęcie całego rocznika. Sześćdziesięcioro uczniów stało przed wejściem do szkoły. Piętnaście osób w każdym rzędzie. W czterech rzędach. Ja byłem z tyłu, między Amosem a Henrym.

* *Grandmère* (franc.) – babcia.

Mama z uśmiechem oglądała zdjęcie.

– O, tu jesteś! – wykrzyknęła, gdy mnie znalazła.

Dalej z uśmiechem je oglądała.

– No, no, jak ten Miles urósł! – powiedziała. – Czy to Henry? Czyba sypie mu się wąs! A to kto...

Zamilkła. Na jej twarzy zastygł uśmiech, a potem pojawiła się zszokowana mina. Odłożyła zdjęcie, przez chwilę patrzyła tępo w dal i znowu wzięła je do ręki.

Spojrzała na mnie, bez uśmiechu.

– To o niego ci chodziło? – odezwała się, już zupełnie innym głosem niż przed chwilą.

– A nie mówiłem?

Jeszcze raz popatrzyła na zdjęcie.

– To nie tylko rozszczep podniebienia – stwierdziła.

– Nikt nie mówił o rozszczepie podniebienia. Pan Tushman wcale tak nie powiedział.

– Powiedział. Gdy do nas zadzwonił.

– Nie, mamu. Powiedział: „problemy z twarzą”, a nie „rozszczep podniebienia”. To ty pomyślałaś, że chodzi o rozszczepione podniebienie.

– Mogłabym przysiąc, że tak się wyraził – odparła – ale jest dużo gorzej. – Była naprawdę wstrząśnięta. Nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia. – Co właściwie dolega temu chłopcu? Jest opóźniony w rozwoju? Na to wygląda.

– Raczej nie. – Wzruszyłem ramionami.

– Mówi normalnie?

– Trochę bełkocze. Czasem trudno go zrozumieć.

Mama odłożyła zdjęcie i usiadła przy stole. Zaczęła bębnić palcami o blat.

– Próbuję sobie przypomnieć jego matkę – odezwała się, kręcąc głową. – W szkole jest teraz tylu nowych rodziców. Mylą mi się. Ona ma jasne włosy?

– Nie, ciemne. Czasem widzę ją, gdy go podwozi.

– Też wygląda... jak jej syn?

– Ani trochę. – Usiadłem przy mamie i wziąłem do ręki zdję-

cie. Przymrużyłem powieki, żeby mieć niewyraźny obraz. Auggie stał w pierwszym rzędzie, po lewej stronie, na samym końcu. – Mówiłem ci, ale mi nie wierzyłaś.

– Wcale nie – zaprotestowała. – Jestem tylko trochę... zaskoczona. Nie sądziłam, że sprawa jest tak poważna. Aha, już wiem, która to jego mama. Bardzo ładna, uroda trochę egzotyczna, falujące ciemne włosy, tak?

– Bo ja wiem? Po prostu mama.

– Chyba sobie przypominam – mruknęła. – Widziałam ją na zebraniu rodziców. Ma przystojnego męża.

– Możliwe. – Pokręciłem głową, zniecierpliwiony.

– Biedni ludzie! – Przyłożyła rękę do serca.

– Teraz rozumiesz, dlaczego znowu mam koszmary? – zapytałem.

Przeczesała palcami włosy.

– Wciąż ci się śnią?

– Tak. Już nie każdej nocy, jak na początku szkoły, ale się śnią. – Rzuciłem zdjęcie na stół. – Dlaczego on musiał przyjść akurat do szkoły Beechera?

Spojrzałem na mamę, ale ona milczała. Powoli wsunęła zdjęcie do koperty.

– Żebyś go tylko nie wkleiła do mojego albumu szkolnego – niemal krzyknąłem. – Powinnaś je spalić albo co.

– Julianie...

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, rozplakałem się.

– Ojej, skarbie! – Przytuliła mnie, trochę zaskoczona.

– Nic na to nie poradzę – powiedziałem przez łzy. – To okropne, że muszę go codziennie widywać!

Tej nocy śnił mi się taki sam koszmar, jaki dręczył mnie od początku roku szkolnego. Idę głównym holem, wszyscy uczniowie stoją przed swoimi szafkami i gapią się na mnie, gdy ich mijam, szepczą coś na mój temat. Idę dalej, schodami na górę, do łazienki. Patrzę w lustro i widzę nie siebie, tylko Auggiego. Zaczynam krzyczeć.

Photoshop

Następnego ranka podsłuchałem rozmowę rodziców. Szykowali się do pracy, a ja się ubierałem.

– Ze strony szkoły należało lepiej przygotować dzieci – powiedziała mama do taty. – Dyrekcja powinna napisać do rodziców, jakoś ich uprzedzić.

– Niby jak? – rzucił tato. – Co w ogóle mieli napisać? Że w klasie jest brzydki chłopiec? Daj spokój.

– To mało powiedziane.

– Nie róbmy za dużo szumu, Melisso.

– Jules, nie widziałeś tego chłopca. Ma poważny problem. Rodzice powinni być poinformowani. Ja powinnam być poinformowana! Ze względu na stany lękowe Juliana.

– Stany lękowe! – wrzasnałem. Wypadłem ze swojego pokoju i pobiegłem do ich sypialni. – Uważacie, że mam stany lękowe?

– Nie, Julianie – odparł tato. – Nikt tak nie twierdzi.

– Przed chwilą tak powiedziała mama! – Wskazałem na nią palcem. – Słyszałem: „stany lękowe”. Waszym zdaniem jestem psychiczny?

– Skądże! – zaprzeczyli jednym głosem.

– Bo mam złe sny?

– Nie, nie!

– To nie moja wina, że on chodzi do mojej szkoły! – darłem się. – To nie moja wina, że przeraża mnie jego twarz!

– Oczywiście, że nie, skarbie – powiedziała mama. – Nikt tak nie mówi. Miałam na myśli tylko to, że dyrekcja powinna mnie ostrzec, po-

nieważ dawniej dręczyły cię koszmary. Wtedy przynajmniej bym rozumiała, dlaczego teraz masz złe sny. Wiedziałabym, co je spowodowało.

Usiadłem na ich łóżku. Tato trzymał w rękach zdjęcie klasowe i najwyraźniej dopiero teraz je oglądał.

– Mam nadzieję, że je spalicie – oświadczyłem, wcale nie żartem.

– Nie, skarbie. – Mama usiadła obok mnie. – Nie trzeba nic palić.

Zobacz, co zrobiłam.

Sięgnęła po zdjęcie, które leżało na szafce nocnej, i mi podała. Najpierw myślałem, że to kopia tego klasowego, bo miało taką samą wielkość i przedstawiało to samo co zdjęcie w rękach taty. Już chciałem odwrócić z obrzydzeniem głowę, gdy mama wskazała miejsce na fotografii, gdzie przedtem stał Auggie – teraz w ogóle go tam nie było!

Nie wierzyłem własnym oczom! Zniknął bez śladu!

Podniosłem wzrok na mamę: była rozpromieniona.

– Magiczne sztuczki Photoshopa! – oznajmiła z zachwytem, klaszcząc w dłonie. – Gdy teraz będziesz oglądał to zdjęcie, nic nie zepsuje ci wspomnień z piątej klasy.

– Ekstra! Jak to zrobiłaś?

– Nieźle się posługuję Photoshopem. Pamiętacie, jak w zeszłym roku robiłam niebieskie niebo na wszystkich zdjęciach z Hawajów?

– Nikt by nie pomyślał, że każdego dnia padało – odrzekł tato, kręcąc głową.

– Możesz się śmiać – powiedziała do niego mama – ale gdy teraz oglądam tamte zdjęcia, nic mi nie przypomina, że zła pogoda prawie zepsuła nam pobyt. Widzę tylko, że mieliśmy piękne wakacje! Tak samo zapamiętaj, Julianie, piątą klasę w szkole Beechera, dobrze? Zachowaj miłe wspomnienia, a nie te przykre.

– Dzięki, mammo! – Mocno ją uścisnąłem.

Oczywiście nie powiedziałem jej tego, ale chociaż zmieniła kolor nieba na jasnoniebieski, i tak zapamiętałem, że na Hawajach było zimno i mokro – mimo magicznych sztuczek Photoshopa.

Wredny

Posłuchajcie, to wcale nie znaczy, że od zawsze byłem wredny. W ogóle nie jestem wredny! Czasem robię kawały, no pewnie, ale nie są złośliwe. Tylko się przekomarzam. Ludzie muszą trochę wyluzować! No dobra, zdarza się, że złośliwie z kogoś żartuję, ale tylko za jego plecami. Prosto w twarz nigdy nie mówię rzeczy, które mogą zranić. Nie dręcę innych! Nie jestem hejterem!

Ludzie, uwaga! Nie bądźcie tacy przeczuleni!

Jedni załapali ten numer z Photoshopem, inni nie. Henry i Miles uznali, że to supersprawa, i chcieli, żeby moja mama wysłała do ich mam e-maila ze zdjęciem. Amos uważał, że to „dziwaczne”. Charlotte kompletnie się nie podobało. Nie wiem, co sądził Jack, bo przeszedł na ciemną stronę. Wyglądało na to, że w tym roku całkowicie odciął się od naszej paczki, i zadawał się tylko z Auggiem. A to mnie wkurzało, bo już nie mogłem się z nim kumpłować. Nie zamierzałem złapać „trądu” od tego dziwoląga. Tak się nazywa zabawa, którą wymyśliłem. Trąd. Całkiem prosta. Jeśli dotkniesz Auggiego i nie umyjesz zakażonych rąk, umrzesz. Wszyscy z naszego rocznika się w to bawili. Oprócz Jacka.

I Summer.

Dziwna sprawa. Znam Summer od trzeciej klasy. Właściwie nigdy nie zwracałem na nią uwagi, ale w tym roku Henry’emu spodobała się Savanna i zaczęli tak jakby „chodzić ze sobą”. Gdy mówię „chodzić ze sobą”, nie mam na myśli tego, co się robi w gimnazjum, bo to jest obrzyd-

liwe do wyrzykania. Po prostu kolegowali się, spotykali się przy swoich szafkach i czasem po szkole szli do lodziarni przy Amesfort Avenue. No więc najpierw Henry zaczął chodzić z Savanną, a potem Miles z Ximeną. Pomyślałem sobie: „Hej, a ja?”. A potem Amos powiedział: „Umówię się z Summer”, i wtedy pomyślałem sobie: „Nie ma mowy, sam się z nią umówię!”. Od tamtej pory tak jakby ją polubiłem.

Totalnie wkurzało mnie jednak, że Summer, tak jak Jack, jest w drużynie Auggiego. To oznaczało, że w ogóle nie mogę się z nią kolegować. Nie mogę nawet powiedzieć: „Siema”, bo jeszcze ten dziwoląg uzna, że mówię do niego albo co. No więc pogadałem z Henrym, żeby namówił Savannę, by zaprosiła Summer na imprezę halloweenową, którą robiła u siebie w domu. Przyszło mi na myśl, że tam mógłbym z nią pogadać i może nawet zapytać, czyby ze mną nie chodziła. Ten pomysł nie wypalił, bo Summer wcześniej wyszła z imprezy. Od tamtej pory cały swój czas spędza z tym dziwolągiem.

No dobrze, dobrze, wiem, że nieładnie nazywać go „dziwolągiem”, ale jak już mówiłem, ludzie muszą być mniej czuli na tym punkcie. Słuchajcie, to tylko żart! Nie traktujcie mnie tak poważnie. Nie jestem wredny. Po prostu żartuję.

Wtedy gdy Jack mnie uderzył, też tak było – chciałem być zabawny. Robiłem sobie żarty! Wyglupiałem się.

W ogóle nie widziałem, co się kroi!

Pamiętam, że zgrywaliśmy się i nagle on rąbnął mnie w twarz, bez powodu. Łup!

A ja wtedy: „Auuuu! Ty świrze! Walnąłeś mnie!”.

Nim się obejrzałem, już byłem w pokoju siostry Molly i trzymałem w ręce ząb. Pan Tushman też przyszedł. Słyszałem, jak rozmawia z moją mamą, mówi, że zabierają mnie do szpitala. Ze słuchawki dolatywały krzyki mamy. Potem pani Rubin, dyrektor administracyjna, poprowadziła mnie do drzwi z tyłu karetki i pojechaliśmy do szpitala! Wariactwo!

W karetce pani Rubin zapytała, czy wiem, dlaczego Jack mnie uderzył. A ja na to: „Bo kompletnie zwariował!”. Nie mogłem za wiele mówić, bo miałem spuchniętą wargę i krew na ustach.

Pani Rubin została w szpitalu do przyjazdu mamy. Mama, jak można sobie wyobrazić, była więcej niż rozhisteryzowana. Zalewała się łzami za każdym razem, gdy popatrzyła na moją twarz. Przyznam, że czułem się trochę skrępowany.

Potem przyjechał tato.

– Kto to zrobił? – Te słowa wykrzyczał do pani Rubin już od wejścia.

– Jack Will – odrzekła spokojnie. – Jest teraz u pana Tushmana.

– Jack Will? – Mama nie mogła w to uwierzyć. – Utrzymujemy kontakty z Willami! Jak do tego doszło?

– Dokładnie zbadamy sprawę – odparła pani Rubin. – Na razie najważniejsze jest to, żeby z Julianem było wszystko w porządku...

– W porządku?! – wrzasnęła mama. – Niech pani spojrzy na jego twarz! Uważa pani, że wygląda w porządku? Bo ja nie uważam. To skandal. Co to za szkoła? Sądziłam, że w szkole Beechera dzieci się nie biją. Sądziłam, że skoro płacimy czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, to naszym dzieciom nie stanie się krzywda.

– Wiem, że jest pani zdenerwowana... – zaczęła pani Rubin.

– Rozumiem, że chłopak zostanie wydalony, zgadza się? – przerwał jej tato.

– Tato! – krzyknąłem.

– Z pewnością zajmiemy się tą sprawą w należyty sposób, obiecuję – oświadczyła pani Rubin, starając się zachować spokój. – A teraz pozwolą państwu, że zostawię ich samych. Lekarz wróci za chwilę i udzieli państwu wszelkich informacji. Powiedział, że nie stwierdzono żadnych złamań. Z Julianem jest wszystko w porządku. Stracił dolny ząb, pierwszy trzonowy, który i tak już się kiwał. Dostanie środek przeciwbólowy i trzeba przykładać lód. Jutro rano porozmawiamy dłużej.

Dopiero wtedy zobaczyłem, że bluzka biednej pani Rubin jest cała zakrwawiona. Jejku, ile to leci krwi z rany w ustach!

Wieczorem, jak już mogłem mówić bez bólu, rodzice zaczęli mnie wypytywać, co się stało, o czym rozmawiałem z Jackiem, zanim mnie uderzył.

– Był psybity, bo pani połączyła go w parę z chłopakiem z twazą – wyjaśniłem. – Powiedziałem, że jeżeli chce, może się z kimś zamienić, i wtedy on mnie walnął!

Mama pokręciła głową. To jej wystarczyło. Była wściekła jak nigdy dotąd (wierzcie mi, wiem, jak wygląda, kiedy się wścieknie).

– Sam widzisz, Jules! – odezwała się do taty, krzyżując ręce i kiwając głową. – Sam widzisz, do czego dochodzi, gdy bez odpowiedniego przygotowania stawia się dzieci w pewnych sytuacjach! Nie powinny się stykać z takimi problemami, ponieważ są zwyczajnie za małe! Ten Tushman jest kretynem!

Powiedziała jeszcze mnóstwo innych rzeczy, ale są trochę zbyt nie-
sto... niesto... (no wiecie, co mam na myśli), żeby je powtarzać.

– Wcale nie chcę, żeby go wyzucono ze szkoły – oświadczyłem tacie, który przykładał mi lód do ust, gdy przestały działać środki przeciwbólowe, które dostałem w szpitalu.

– To nie zależy od nas – odparł. – Na twoim miejscu bym się tym nie zajmował. Jacka spotka to, na co zasłużył.

Muszę przyznać, że w pewnym sensie było mi żal Jacka. Pewnie, że głupio zrobił, uderzając mnie, i powinien za to oberwać, ale zupełnie nie chciałem, żeby wyleciał ze szkoły ani nic w tym rodzaju.

Ale mama, widziałem to, miała poczucie misji (jak mówi tato). Ona czasem wpada w taki stan: jest czymś oburzona do tego stopnia, że nic jej nie powstrzyma. Na przykład parę lat temu, gdy samochód potarcił jakiegoś dzieciaka kilka przecznic od szkoły Beechera, zebrała chyba z milion podpisów pod petycją o zainstalowanie sygnalizacji świetlnej. Miała okazję, żeby się pokazać jako supermama. Tak samo było w zeszłym miesiącu, gdy nasza ulubiona restauracja zmieniała kartę dań i zniknęło moje ulubione danie. Też pokazała się jako supermama: porozmawiała z nowym właścicielem i kucharz przyrządził to danie na specjalne zamówienie – tylko dla mnie! Mama zachowuje się tak również w sprawach mniej przyjemnych, na przykład gdy kelner popłącze coś w zamówieniu. Wtedy jest mamą nieszczerze super, bo sami rozumiecie, sytuacja robi się trochę dziwna, kiedy wasza mama zwraca się do kelnera jak do

pięciolatka. Żenada! Poza tym, jak mówi tato, lepiej nie złościć kelnera. Ostatecznie twoje jedzenie jest w jego rękach, co nie?

Tak więc nie potrafiłem jasno i wyraźnie powiedzieć, co czuję, gdy zorientowałem się, że mama wypowiada wojnę panu Tushmanowi, Auggiemu Pullmanowi i całej szkole podstawowej Beechera. Czy okaże się mamą super, czy nieszczególnie super? To znaczy czy skończy się tym, że Auggie przeniesie się do innej szkoły – hurra! – czy też pan Tushman napluje mi w talerz – fuj!

Przyjęcie

Opuchlizna zeszła całkowicie dopiero po dwóch tygodniach. Z tego powodu nie pojechaliśmy na ferie zimowe do Paryża. Mama nie chciała, żeby nasi krewni pomyśleli, że brałem udział w „meczu bokserskim”. Podczas ferii w ogóle nie robiła mi zdjęć, tłumacząc, że nie chce wspominać mnie w takim stanie. Na corocznej kartce bożonarodzeniowej znalazł się jakiś odrzut z zeszłorocznej sesji fotograficznej.

Choć koszmary nie śniły mi się już tak często, mama była poważnie zmartwiona, że w ogóle znowu się zaczęły. Widziałem, jaka jest zestresowana. Dzień przed naszym przyjęciem bożonarodzeniowym dowiedziała się od jednej z mam, że Auggiego nie poddano takiej samej procedurze przyjmowania do szkoły jak pozostałych uczniów. W podstawówce Beechera jest tak, że każdy kandydat odbywa w szkole rozmowę kwalifikacyjną i pisze test – a jednak dla Auggiego zrobiono wyjątek. Nie przyszedł do szkoły na rozmowę kwalifikacyjną, a test mógł napisać w domu. Mama uważała, że to nie było fair!

– Tego chłopca nie należało przyjmować – powiedziała do innych mam u nas na przyjęciu. Sam słyszałem. – Szkoła podstawowa Beechera nie jest do tego powołana! Nie jesteśmy szkołą integracyjną. Nie mamy tu psychologów, którzy wiedzą, jak coś takiego wpływa na inne dzieci. Biedny Julian miał przez cały miesiąc koszmarnie sny!

Yyy, mamó! Nie znoszę, gdy opowiadasz ludziom o moich koszmarach!

– Henry też był zdenerwowany – wtrąciła mama Henry’ego, na co pozostałe kiwnęły głowami.

– Nawet nas nie uprzedzili! – ciągnęła moja mama. – To mi się nie podoba najbardziej. Jeżeli nie mogą zapewnić dodatkowej pomocy psychologicznej, to przynajmniej powinni zawczasu ostrzec rodziców!

– Racja! – przytaknęła mama Milesa, a pozostałe znowu kiwnęły głowami.

– Oczywiście Jackowi przydałaby się jakaś terapia – oświadczyła moja mama, przewracając oczami.

– Zaskoczyło mnie, że nie został wydalony – wtrąciła mama Henry’ego.

– Tak by się stało, ale poprosiliśmy, żeby tego nie robili – wyjaśniła moja mama. – Znamy Willów, od kiedy nasze dzieci poszły do zerówki. To dobrzy ludzie. Właściwie nie obwiniamy Jacka. Uważam, że najzwyczajniej nie wytrzymał obciążenia, jakim było opiekowanie się tym chłopcem. Tak to jest, gdy stawia się małe dzieci w takiej sytuacji. Naprawdę nie wiem, co Tushman sobie wyobraża!

– Przepraszam, że się wtrącę – powiedziała jedna z mam (chyba mama Charlotte, bo miała takie same jasne włosy i duże niebieskie oczy). – Temu dziecku nic nie dolega, Melisso. To świetny chłopiec, tylko trochę inaczej wygląda, ale...

– Oczywiście! – Mama położyła rękę na sercu. – Nikt nie twierdzi, że nie jest świetny, wierz mi, Brigit. Co do tego nie mam wątpliwości. Podobno jego rodzice są uroczy. Ale nie o to chodzi. W ostatecznym rozrachunku liczy się dla mnie prosta sprawa: Tushman nie trzymał się zasad. Rażąco naruszył procedurę rekrutacji, pozwalając, by ten chłopiec nie przyszedł do szkoły na rozmowę kwalifikacyjną ani na test, choć nasze dzieci musiały spełnić te wymagania. Tushman złamał przepisy. A przepisy są po to, żeby ich przestrzegać. I tyle. – Mama spojrzała na mamę Charlotte i zrobiła smutną minę. – Ojej, widzę, że się kompletnie nie zgadzasz!

– Ależ skąd, Melisso – odparła mama Charlotte. – Sytuacja jest trudna pod każdym względem. Ponieważ to twój syn został uderzony, masz prawo czuć gniew i domagać się wyjaśnień.

– Dziękuję. – Mama kiwnęła głową i założyła ręce na piersi. – Po prostu uważam, że ta sprawa została załatwiona fatalnie, i już. Winę ponosi Tushman. Całkowicie.

– Racja – zgodziła się mama Henry’ego.

– On musi odejść – potwierdziła mama Milesa.

Spojrzałem na swoją mamę, otoczoną potakującymi mamami, i pomyślałem: „W porządku, być może naprawdę stanie się teraz supermamą”. Może wszystko, co robiła, spowoduje, że przeniosą Auggiego do innej szkoły, a wtedy sprawy w szkole Beechera znów będą się toczyły jak dawniej. To dopiero by było!

Ale pojawiła się też inna myśl: „Być może stanie się teraz mamą nieszczerólnie super”. Chcę przez to powiedzieć, że to, co mówiła, brzmiało trochę... bo ja wiem? Chyba trochę szorstko. Jak wtedy, gdy złości się na kelnera. W końcu człowiek zaczyna mu współczuć. Dobrze wiem, że rozpoczęła tę antytushmanową akcję z mojego powodu. Gdybym znowu nie miał złych snów i gdyby Jack mnie nie uderzył, nie doszłoby do tego. Mama nie rozdmuchałaby sprawy Auggiego, Tushmana też, i cały swój czas i energię poświęciłaby na robienie dobrych rzeczy, na przykład zbieranie pieniędzy dla szkoły albo udzielanie się w noclegowni. Mama ciągle robi coś dobrego dla innych!

Sam już nie wiem. Z jednej strony cieszę się, że chce mi pomóc. A z drugiej strony wolałbym, żeby przestała.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).